



84. ROCZNICA POWOŁANIA ARMII KRAJOWEJ

POLSKA BROJNA



Narodowy Dzień
Pamięci Żołnierzy Armii
Krajowej

Warszawa, 14 lutego 2026

Wierność, honor, niepodległość. W 84. rocznicę powstania Armii Krajowej

Szanowni Państwo, Rodacy, Żołnierze
Rzeczypospolitej,

14 lutego 2026 roku przypada 84. rocznica powstania Armii Krajowej – formacji, która na trwałe zapisała się w historii Polski jako największe i najlepiej zorganizowane podziemne wojsko działające w okupowanej Europie. Od 2025 roku dzień ten obchodzimy jako Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Armii Krajowej. Oddajemy w ten sposób należny hołd tym, którzy w czasach najcięższej próby potrafili stanąć w obronie Ojczyzny, ryzykując wszystko, co mieli najcenniejsze.

Armia Krajowa nie była tylko jedną z wielu organizacji konspiracyjnych walczących z okupantem. Stanowiła zbrojne ramię Polskiego Państwa Podziemnego, rozbudowaną i zdyscyplinowaną strukturę. Na obszarze II Rzeczypospolitej prowadziła działalność wojskową, polityczną, administracyjną i sądowniczą, a swoim istnieniem podtrzymywała ciągłość państwa polskiego. Była solą w oku okupanta. Motorem walki, symbolem niezgody na zniewolenie i siłą, która mobilizowała całe społeczeństwo do powszechnego oporu. Jednoczyła naród we wspólnej sprawie walki o niepodległość.

Powołana 14 lutego 1942 roku rozkazem Naczelnego Wodza generała Władysława Sikorskiego, Armia Krajowa stała się podziemnym Wojskiem Polskim. Kontynuatorem tradycji Służby Zwycięstwu Polski i Związku Walki Zbrojnej. Decyzja generała Sikorskiego była m.in. próbą demokratyzacji Związku Walki Zbrojnej i otwarcia możliwości scalenia z AK Batalionów Chłopskich w jedną armię Polskiego Państwa Podziemnego. Bez wsparcia wsi, bez zaplecza żywnościowego partyzantka nie miałaby stabilnego oparcia i skazana byłaby na porażkę. Dowodzona kolejno przez generałów Stefana Roweckiego „Grota”, Tadeusza Komorowskiego „Bora” oraz Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka”, była formacją ochotniczą, opartą na wierności, dyscyplinie i głębokim poczuciu odpowiedzialności za los państwa. Szefem I Oddziału Sztabu KG AK w 1944 roku był generał Franciszek Kamiński – komendant główny BCh. Po wojnie zadbał on o włączenie żołnierzy AK do życia społecznego.

W szczytowym okresie swojej działalności Armia Krajowa liczyła ponad 350 tys.

zaprzyśiężonych żołnierzy, oficerów, podoficerów i szeregowych, w tym 50 tys. żołnierzy BCh. Skala oraz różnorodność prowadzonych przez nią działań – od wywiadu i dywersji, przez tajne nauczanie wojskowe i wydawnictwa, po otwartą walkę zbrojną – nie miała odpowiednika w żadnym innym kraju okupowanej Europy. Największym i najbardziej dramatycznym świadectwem tej walki było Powstanie Warszawskie, które stało się symbolem niezłomnej woli narodu polskiego. Drugą pod względem liczebności organizacją zbrojną Polskiego Państwa Podziemnego były Bataliony Chłopskie, które ujawniły się we wrześniu 1945 roku.

Ducha Armii Krajowej najpełniej wyrażają słowa żołnierskiej przysięgi: „[...] przysięgam być wierny Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej. Stać nieugięcie na straży jej honoru, o wyzwolenie z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia”. Dla setek tysięcy żołnierzy nie były to puste deklaracje, lecz zobowiązanie, które realizowali poprzez codzienną służbę, aż do najwyższej ofiary.

Dziś, w wolnej i suwerennej Rzeczypospolitej, jesteśmy winni żołnierzom Armii Krajowej, z których wielu miało rodowód chłopski, wdzięczną pamięć, najgłębszy szacunek oraz troskę o prawdę historyczną. Jako

Minister Obrony Narodowej składam hołd Ich odwadze, ofiarności i najczystszej miłości do Ojczyzny, zapewniając, że współczesne Wojsko Polskie czerpie z Ich dziedzictwa siłę, sens służby i moralny fundament.

Cześć i chwała Bohaterom Armii Krajowej. Niech Ich dziedzictwo trwa w naszych sercach, pamięci i czynach.

Władysław
Kosiniak-Kamysz,
Minister Obrony
Narodowej,
Wicepremier



Rys. Piotr Korczyński



Rys. Piotr Korczyński

JESTEŚCIE ŻOŁNIERZAMI!

Przemianowanie Związku Walki Zbrojnej na Armię Krajową było w intencji Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego wyraźnym sygnałem dla aliantów, że oprócz Armii Polskiej na Zachodzie i Armii Polskiej w ZSRS istnieje jeszcze trzecia polska siła zbrojna, dźwigająca w tym czasie największy ciężar zmagania z nazistowskimi Niemcami.

Piotr Korczyński

Tworzenie się i konsolidacja polskiej konspiracji pod okupacjami niemiecką i sowiecką to nie był proces ani łatwy, ani szybki. Oprócz klęski militarnej i utraty niepodległości wciąż odgrywały tu rolę podziały polityczne z przedwojennej Polski. Służba Zwycięstwu Polski (SZP), która powstała w sztabie obrony Warszawy 27 września 1939 roku, a więc na dzień przed kapitulacją stolicy, nie była ani pierwszą, ani jedyną organizacją konspiracyjną. Jak wyliczył prof. Czesław Brzoza, na przełomie 1939 i 1940 roku pod okupacjami niemiecką i sowiecką funkcjonowało około 150 różnych grup i organizacji konspiracyjnych. Wiele z nich tworzyli wojskowi na podstawie formowanych przez Oddział II Sztabu Głównego Wojska Polskiego siatek dywersji pozafrontowej, przeznaczonych do walki na tyłach frontu polsko-niemieckiego. Taki rodowód miały m.in. Organizacja Orła Białego, która działała w Małopolsce, Świętokrzyskiem, Lubelskiem i na Śląsku, ugrupowanie „Jędrusiów” w Sandomierskiem czy powstałe w Stanisławowie Pogotowie Obywatelskie (później przekształcone w Tajną Organizację Wojskową). Na bazie Korpusu Ochrony Pogranicza stworzono natomiast Komendę Obrońców Polski. Oprócz tych organizacji można wymienić jeszcze m.in. Polskę Niepodległą, „Muszkieterów”, Tajną Armię Polską i Związek Czynu Zbrojnego. Wszystkie te struktury miały charakter oddolny i niejednokrotnie koleżeński – tworzyło je kilka zaprzyjaźnionych ze sobą osób, np. oficerowie służący przed wojną w jednej jednostce lub członkowie tzw. piątek dywersji pozafrontowej.

Inaczej było w wypadku SZP, która była legitymizowana przez władze wojskowe. Jej dowódca główny (taki był oficjalny tytuł szefa SZP) gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski otrzymał od dowódcy Armii „Warszawa” gen. Juliusza Rómmla pełnomocnictwo Naczelnego Wodza marsz. Edwarda Rydza-Śmigłego do tworzenia konspiracji wojskowej w całym okupowanym kraju. Tokarzewski był piłsudczykiem, ale zarazem miał liczne kontakty w opozycji politycznej. To nie było bez znaczenia na stanowisku dowódcy konspiracji. Udało mu się zebrać wokół siebie kilkudziesięciu oficerów – większość z doświadczeniem z Legionów i Polskiej Organizacji Wojskowej. Część tych oficerów wcielił do komendy SZP, którą zorganizował na wzór Sztabu Głównego WP, a część rozesłał po kraju, aby budowali struktury organizacji. Do końca 1939 roku dowództwa wojskowe SZP powstały w Warszawie, Krakowie, Kielcach i Lublinie. Następnie przystąpiono do tworzenia siatki terenowej. Szefem sztabu SZP został płk. dypl. Stefan Rowecki, były dowódca Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej. Tokarzewskiemu udało się również porozumieć z przedstawicielami najważniejszych ugrupowań politycznych, którzy przy sztabie SZP powołali Radę Główną Polityczną, z Mieczysławem Niedziałkowskim na czele.

Nowe rozdanie z Paryża

Skład personalny dowództwa nie mógł jednak podobać się w Paryżu, gdzie rezydował Rząd Polski na Uchodźstwie. Premier i Naczelnny Wódz gen. Władysław Sikorski (podobnie jak wielu jego ministrów) nie ufał ani Tokarzewskiemu, ani jego wywodzącym się z Legionów oficerom. Widział w nich przede wszystkim przeciwników politycznych, którzy mogliby osłabiać jego wpływy w kraju w czasie wojny i po jej zakończeniu. Nieufność gen. Sikorskiego wzmógł fakt, że gen. Tokarzewski swoje pierwsze meldunki przysyłał do marsz. Rydza-Śmigłego. Wszystko to spowodowało, że Sikorski postanowił przemodelować organizację konspiracyjną w kraju.

Naczelnny Wódz 13 listopada 1939 roku powołał na stanowisko komendanta głównego Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Tym samym kończyła się krótka historia SZP. Sosnkowski również był piłsudczykiem, ale w odróżnieniu od Tokarzewskiego przebywał w Paryżu i tu także miała pracować podległa mu Komenda Główna ZWZ. Kraj został podzielony na sześć niezależnych od siebie obszarów (Warszawa, Białystok, Lwów, Kraków, Poznań, Toruń), do których rozkazy trafiały bezpośrednio z Paryża. Wojenne realia jednak szybko zweryfikowały ten plan. Trudności w komunikacji (kurierzy zmuszeni byli przekraczać kilka zielonych granic) spowodowały, że dano więcej samodzielności dowództwu ZWZ w kraju. Komendantem ZWZ na okupację niemiecką został Stefan Rowecki „Rakon” (później „Grot”), którego w 1940 roku mianowano generałem i rezydował w Warszawie. Generała Tokarzewskiego natomiast mianowano komendantem ZWZ na okupację sowiecką i wysłano do Lwowa. Sowieci aresztowali go zaraz po przekroczeniu kordonu niemiecko-sowieckiego. Profesor Paweł Wieczorkiewicz twierdzi, że Sikorski celowo wysłał Tokarzewskiego do Lwowa, gdzie ten służył przed wojną i był dobrze znany, by w ten sposób pozbyć się konkurenta politycznego.

Zresztą cała ta skomplikowana struktura ZWZ z Komendą Główną w Paryżu, co czyniło ją niewydolną, świadczyła o tym, że Naczelnny Wódz nie myślał wówczas o tworzeniu silnej organizacji konspiracyjnej w kraju. Jego podejście wynikało z tego, że liczył na wielką aliancką ofensywę wiosną 1940 roku, która miała szybko doprowadzić do wyzwolenia Polski. Istnienie w kraju organizacji z piłsudczykowskimi wpływami – jak mniemał generał – utrudniałoby mu przejęcie i umocnienie władzy.

Długi marsz

Zamiast jednak wielkiej ofensywy w czerwcu 1940 roku przyszła klęska Francji oraz ewakuacja polskich władz i niedobitków armii do Wielkiej Brytanii. To wymusiło zmiany w strukturze ZWZ. 30 czerwca 1940 roku gen. Sosnkowski powołał na komendanta głównego ZWZ gen. Roweckiego i ustanowił Warszawę siedzibą Komendy Głównej ZWZ. Dotychczasowa Komenda Główna ZWZ z Francji została przekształcona w Londynie w Oddział VI Sztabu Naczelnego Wodza, odpow-



Żołnierze 1 Pułku Strzelców Podbalańskich – Okręg Kraków Armii Krajowej. Fot. NAC

wiedzialny za wspieranie wojskowych akcji w kraju. Generał Sosnkowski zatrzymał nadzór nad ZWZ jako zastępcę Naczelnego Wodza, ale całość konspiracyjnych prac wojskowych skupiła się w kraju. Generał Rowecki odpowiadał także za działania na terytorium okupacji sowieckiej, lecz żaden z wysłanych przezeń tam wyższych oficerów nie utrzymał się na stanowisku dłużej niż przez kilka miesięcy.

Nie osłabiła również podejrzliwość gen. Sikorskiego, że ZWZ jest „ekspozyturą sanacji”. Wobec jego nacisków gen. Rowecki zmuszony był usunąć z organizacji kilku wybitnych oficerów, w tym mjr. Tadeusza Kruka-Strzeleckiego, pierwszego szefa Biura Informacji i Propagandy. „Grot” musiał się grubo tłumaczyć przed Naczelnym Wodzem w maju 1941 roku z wydrukowania w piśmie ZWZ „Instrukcja” okolicznościowego artykułu poświęconego pamięci Józefa Piłsudskiego.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 roku był kolejną ważną cezurą w historii polskiej konspiracji. Agresję Hitlera na jego dotychczasowego wiernego sojusznika – ZSRS – polskie władze przyjęły z zadowoleniem. Opowiedzenie się Sowiec za aliantami dawało szansę na ratunek dla tysięcy Polaków znajdujących się w sowieckich łagrach i więzieniach oraz na utworzenie z nich armii. Zwiększało też znaczenie polskiej konspiracji, która nagle znalazła się na zapleczu wielkiego frontu. Mimo to głównym zadaniem ZWZ pozostawało przygotowywanie się do powszechnego powstania. Spodziewane na wschodzie klęski armii niemieckiej mogły je teraz przyspieszyć.

Należało więc jeszcze bardziej zintensyfikować prace, scalić pod jednym dowództwem wszystkie organizacje wojskowe i nadać odpowiednie znaczenie armii podziemnej. To wszystko leżało u podstaw decyzji gen. Sikorskiego o przemianowaniu 14 lutego 1942 roku ZWZ na Armię Krajową. Wiązało się to także z zaufaniem, jakie u Sikorskiego zdobył komendant główny ZWZ/AK gen. Rowecki, co – jak wskazują przytoczone przykłady – nie było sprawą łatwą. Naczelnny Wódz pisał do „Grota” w liście z 10 lutego 1942

roku: „Po powrocie z Rosji stwierdziłem z wielką radością wspaniałe wyniki, jakie Pan Generał osiągnął w pracy prowadzonej w warunkach tak tragicznych. Nadał Pan Generał działalności wojskowej w Kraju kierunek właściwy, zmierzający do zjednoczenia całości kształtu poczyniła wojskowych nad odbudową Sił Zbrojnych dla wywalczenia Niepodległości”. Armia Krajowa (któ-

Rozkaz Naczelnego Wodza był także wyraźnym sygnałem dla organizacji konspiracyjnych pozostających poza strukturami ZWZ, że powstała w jej miejsce Armia Krajowa jest autentyczną i integralną częścią Wojska Polskiego, w którym nie kwestie polityczne, lecz wojskowe odgrywają pierwszą rolę.

rej to nazwy Sikorski po raz pierwszy użył w tym liście) obok Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i Polskich Sił Zbrojnych w Związku Sowieckim stała się integralną częścią Wojska Polskiego.

To jest armia

Rozkaz Naczelnego Wodza O. VI L.dz. 627/42 z 14 lutego 1942 roku nakazywał wyraźnie komendantowi głównemu ZWZ: „1) Znoszę dla użytku zewnętrznego nazwę ZWZ. – Wszyscy żołnierze w czynnej służbie wojskowej w Kraju stanowią »Armię Krajową« podległą Panu Generałowi, jako jej do-

wódcy. 2) Stanowisko Pana Generała nosi nazwę »Dowódcy Armii Krajowej«. Jednocześnie gen. Sikorski zaznaczał, że „[n]azwa ZWZ lub inne nazwy konspiracyjne mogą być zachowane na użytek wewnętrzny według uznania Pana Generała”.

O co chodziło w tym podkreślanu przez gen. Sikorskiego używania nazwy Armia Krajowa dla „użytku zewnętrznego”? W istocie określenie to świadczy, że rozkaz Naczelnego Wodza miał doniosły wymiar nie tylko wojskowy, lecz także polityczny. Zarówno aliantom zachodnim, jak i Sowiecom powstanie Armii Krajowej miało uzmysłowić, że przez cały czas okupacji w Polsce organizuje się i walczy wojsko konspiracyjne – armia ochotnicza, która w odpowiednim momencie ruszy do powszechnego powstania. Wtedy to miały ją wspomóc przybyłe z Zachodu Polskie Siły Zbrojne, a ze Wschodu – Armia Polska gen. Władysława Andersa w Związku Sowieckim.

Rozkaz Naczelnego Wodza był także wyraźnym sygnałem dla organizacji konspiracyjnych pozostających poza strukturami ZWZ, że powstała w jej miejsce Armia Krajowa jest autentyczną i integralną częścią Wojska Polskiego, w którym nie kwestie polityczne, lecz wojskowe odgrywają pierwszą rolę. Innymi słowy, aby być traktowanym jako żołnierz podległy dowództwu polskiemu, należy scalić swoje oddziały z AK i podporządkować się rozkazom jej komendanta głównego. Tyczyło się to głównie oddziałów Batalionów Chłopskich i Narodowych Sił Zbrojnych. O tym, jak skomplikowaną kwestią było scalenie wszystkich sił zbrojnych pod dowództwem gen. Roweckiego, świadczy to, że nawet w jego własnym sztabie znaleźli się oficerowie, którzy kwestionowali jego nowe prerogatywy. Irena Rowecka-Mielczarska zapisała w swoich wspomnieniach, że podczas odprawy, kiedy jej wuj wystąpił już jako komendant główny AK, jeden z oficerów zażądał potwierdzenia tego rozkazu na piśmie. „Wtedy Wuj – relacjonuje Rowecka-Mielczarska – polecił »Kortumowi« [Antoni Sanojca – przyp. P.K.] podać rozkaz Naczelnego Wodza. »Benedykt« [Ludwik Muzyczka – przyp. P.K.], ujrzawszy na jedwabnej chuście napisaną nominację Wuja, służbiście stuknął obcasami, dodając w formie wyjaśnienia, że o tym nie wiedział i że to trzeba było rozplakatować [na mieście – przyp. P.K.]”. Na to ostatnie stwierdzenie „Grot”, obdarzony dużym poczuciem humoru, wybuchnął gromkim śmiechem.

Mimo ogromnych trudności, z którymi zmuszeni byli borykać się żołnierze konspiracji (m.in. brak broni, przeciwdziałania i terror Niemców, niechęć i dywersja Sowiec), Armia Krajowa od wiosny 1942 roku przekształciła się ze struktury kadrowej w masową armię podziemną, która latem 1944 roku liczyła około 350 tys. osób! Jej elita, wspomagana przez wysyłanych z Zachodu specjalnie przeszkolonych oficerów – cichociemnych – stworzyła w całym kraju grupy dywersyjne i oddziały partyzanckie, a ich bieżącą walką koordynowało Kierownictwo Dywersji – Kedyw.

Źródło: portal Polska-zbrojna.pl

AK wymierza sprawiedliwość katowi Warszawy

Rozpoznanie trwało w sumie miesiąc, a operacja została misternie przygotowana. 1 lutego 1944 roku żołnierze Armii Krajowej przeprowadzili zamach na Franza Kutschere, dowódcę SS i policji na dystrykt warszawski. Stało się to w samym sercu obsadzonej przez Niemców dzielnicy policyjnej. Jednak za udaną akcję Polacy zapłacili wysoką cenę.

Lukasz Zalesiński

Kama” dostrzegła go sześć minut po dziewiątej. Jak co dzień szybkim krokiem wyszedł z kamienicy, po czym wszedł do czekającego pod bramą ciemnego Opla. Zajął miejsce obok kierowcy. „To już” – pomyślała, a serce zaczęło jej bić jak szalone. Mechanicznym ruchem przewiesiła pelerynę przez prawe ramię – znak, że jak na razie wszystko idzie zgodnie z planem. Kiedy samochód skręcał z Alei Róż w Aleje Ujazdowskie, „Kama” przebiegła przed jego maską, by raz jeszcze potwierdzić tożsamość pasażera. Wystarczył jej rzut oka. W Oplu faktycznie siedział mężczyzna, którego twarz po raz pierwszy zobaczyła kilka tygodni temu, na zdjęciu wykradzionym z laboratorium fotograficznego SD (niemieckiej Służby Bezpieczeństwa). Teraz powinna skrócić w kolejną przecznicę i schować się w bramie. Zwolniła jednak kroku. Przychodziła tutaj przez cztery tygodnie, narażała się, miałyby więc przegapić finał? „Stanęłam na rogu ulic Chopina i Alej Ujazdowskich jak zaczarowana, bo widziałam ten pojedynek światła. Kierowca Kutschery zapalał żółte światła, a Michał stawał, potem znów podjeżdżał, doprowadził do szczypania, do zderzenia dwóch samochodów. Wyskoczył z samochodu. Widziałam »Lota«, jak biegł i rozrywał płaszcz, bo już nie miał czasu rozpiąć. Dlaczego rozrywał płaszcz? Pod płaszczem miał Stena, pistolet maszynowy. Sten czy peem, już nie pamiętam” – wspominała po latach.

Po chwili powietrze rozdarł krzyk: „Kama!”. Druga z sygnalistek stała w bramie na Chopina i machała do niej ręką. „Kama” ruszyła biegiem. Kiedy wskoczyła na klatkę schodową, zobaczyła mnóstwo niemieckich mundurów. Młody żołnierz, który stał najbliżej, przesunął kaburę do przodu i w napięciu rozglądał się wokół siebie. Był zdezorientowany. Jego koledzy też...

Kilkadziesiąt metrów dalej konał Franz Kutschera, dowódca SS i policji na dys-

trykt warszawski. Najwyższy rangą funkcjonariusz niemieckiego aparatu terroru, którego kiedykolwiek zlikwidowało polskie podziemie.

Główki za terror

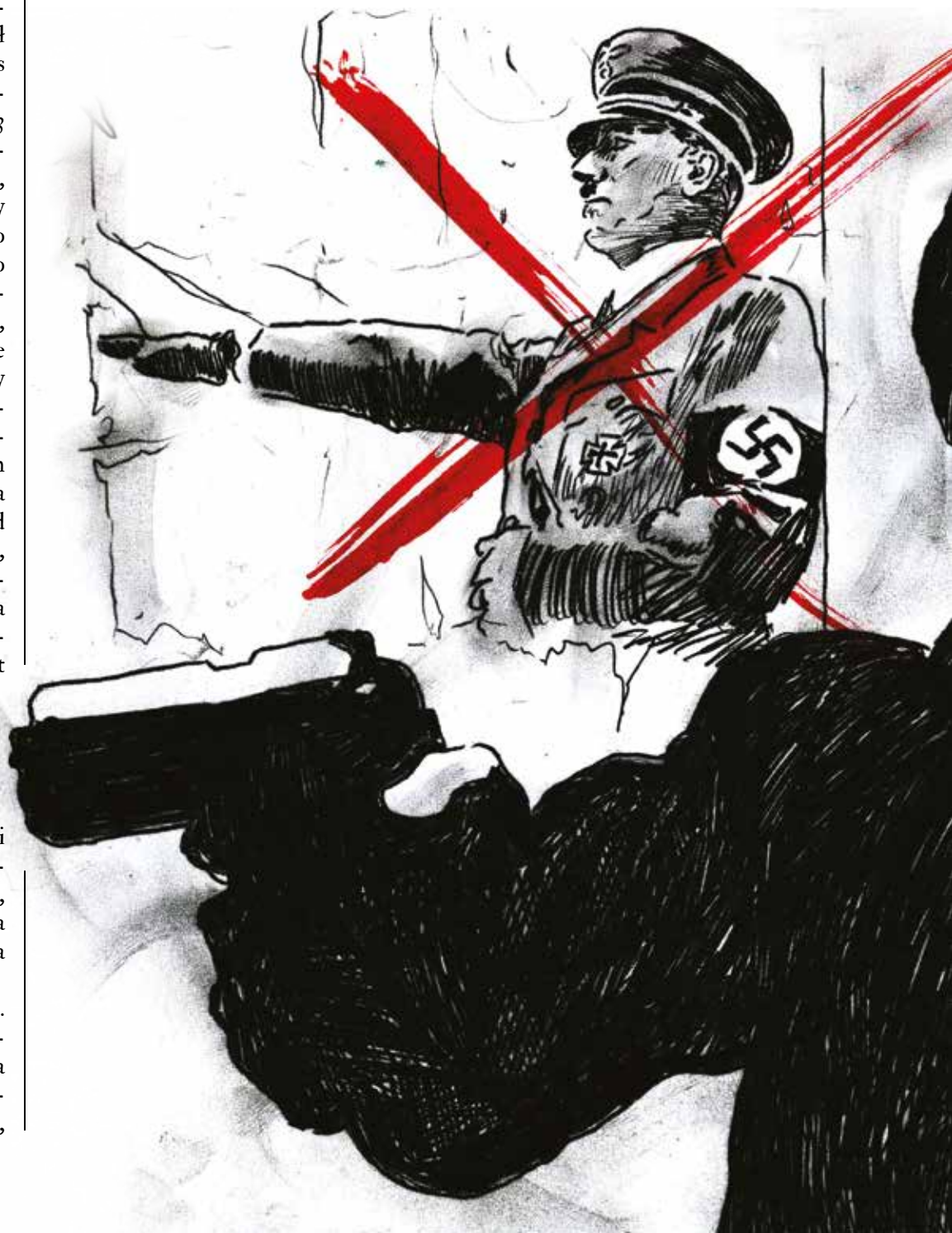
„Mamy w tym kraju jeden punkt, z którego pochodzi wszystko zło: to Warszawa. Gdybyśmy nie mieli Warszawy w Generalnym Gubernatorstwie, nie mielibyśmy 4/5 trudności, z którymi musimy walczyć. Warszawa jest i pozostaje ogniskiem zamętu, punktem, z którego rozprzestrzenia się niepokój w tym kraju” – mówił podczas jednej z narad w Krakowie Hans Frank, generalny gubernator okupowanych ziem polskich. Był grudzień 1943 roku. Od trzech miesięcy w dawnej stolicy Polski urzędował już Franz Kutschera, pochodzący z Austrii generał SS, który miał niepokorne miasto ujarzmić. Do Warszawy przyjechał z białoruskiego Mohylewa. Wcześniej służył w Czechosłowacji, Jugosławii i Holandii. Wszędzie, gdzie się pojawiał, siał terror i strach. Nie inaczej było teraz. „Oczywiście Niemcy od samego początku prowadzili w dystrykcie warszawskim niezwykle brutalną politykę. Jednak wraz z pojawieniem się w mieście Kutschery prześladowania i represje przybrały niespotykane dotąd rozmiary” – przyznaje Rafał Brodacki, historyk z Muzeum Powstania Warszawskiego. „Nie było praktycznie tygodnia bez łapanek czy egzekucji. Niemcy bardzo często dokonywali straceń wprost na ulicy. Zabijali ludzi na oczach ich sąsiadów i przechodniów. Na murach regularnie pojawiały się obwieszczenia informujące o liczbie zabitych” – dodaje Brodacki. Wszystkie były podpisane jedynie funkcją „Dowódca SS i Policji na Dystrykt Warszawski”. Jak podaje historyk prof. Krzysztof Dunin-Wąsowicz, w czasach, gdy siłami bezpieczeństwa w Warszawie kierował Kutschera, liczba ofiar mogła sięgnąć 5 tys.

Armia Krajowa musiała zareagować. Jeszcze w 1943 roku podziemie zainicjowało akcję „Główki”. Cel: likwidacja najbardziej bezwzględnych przedstawicieli aparatu terroru. Oczywiście,

ki pomogła spostrzegawczość jednego z polskich oficerów.

Jak niemieckie dziewczyny

Pewnego grudniowego dnia 1943 roku kpt. Aleksander Kunicki „Rayski”, szef komórki wywiadu oddziału dywersyjnego „Agat”, który akurat prowadził obserwację siedziby SS przy Alejach Ujazdowskich, zwrócił uwagę na człowieka w skórzanym płaszczu. Wysiadł on z ciemnego Opla i skierował się wprost do wejścia. Wewnętrzny głos podszepnął „Rayskiemu”, by mężczyźnie temu przyjrzeć się bliżej. Zaczął śledzić jego przyjazd i wyjazd z pracy. Spostrzegł, że samochód z Alej Ujazdowskich skręca w jedną z pobliskich przecznic. Wkrótce zauważył też, że nie odjeżdża daleko. Opel dzień w dzień zatrzymywał się tuż za rogiem, przy kamienicy Szelechowa w Alei Róż. Niespełna 150 m od kwatery SS... A kiedy jeszcze spod rozpiętego płaszcza esesmana mignęły generalskie dystynkcje, Kunicki był w domu. „To musi być Kutschera!” – doszedł do wniosku. Wkrótce



jego meldunek trafił do szefa Kedywu płk. Augusta Fieldorfa „Nila”, a ten nakazał rozpocząć przygotowania do likwidacji. Jeszcze w listopadzie wyrok śmierci na Kutscherę wydał podziemny sąd.

Zadanie powierzone zostało „Agatowi” (który niebawem miał zmienić nazwę na „Pegaz”). Dowodzenie sformowaną do tego celu grupą specjalną objął ppor. Bronisław Pietraszewicz „Lot”. Mimo młodego wieku – miał zaledwie 22 lata – cieszył się sporą estymą zarówno wśród przełożonych, jak i podwładnych. Był odważny, ale jednocześnie wyważony. Posiadał też spore doświadczenie. W maju 1943 roku brał udział w tzw. akcji megafonowej. Wraz z grupą konspiratorów zorganizował w jednym z mieszkań studio nadawcze. Członkowie grupy zdołali się podpiąć do „szczekaczki” na Placu Wilsona i nadać krótką audycję okraszoną hymnem Polski oraz „Rotą”. Kilka miesięcy później Pietraszewicz znalazł się w grupie, która zlikwidowała Franza Bürkla, osławionego sadystę z Pawiaka, największego więźnia politycznego w okupowanej Polsce.

Na potrzeby akcji „Kutschera” „Lot” skompletował oddział liczący początkowo 11, potem zaś 12 osób. Aby przygotować dobry plan, należało kontynuować obserwację. Zadanie niełatwe. „Konspiratorzy zmuszeni byli działać w tzw. dzielnicy policyjnej. Znajdowały się tam najważniejsze placówki niemieckich służb. Mieszkania też zajmowali Niemcy, bo wcześniej wysiedlono stamtąd wszystkich Polaków” – tłumaczy Brodacki. Biorąc udział w obserwacji „Kama”, czyli Maria Stypułkowska-Chojcka, wspominała: „Stałyśmy w różnych miejscach po 20 minut i krócej, chodziło o to, żeby nie przebywać dłużej w jednym miejscu, żeby zmieniać



Widowisko historyczne „Zamach na Kutscherę”, Warszawa, 22 lutego 2009. Fot. IPN

swoje dyżury tak, aby ktoś obserwując nie widział, że ja odchodzę, a koleżanka przychodzi [...]. Starałam się zmieniać wygląd zewnętrzny poprzez zmianę odzienia, co nie było łatwe, bo to przecież była zima. Trzeba było skądś pożyczyć, wymienić czapkę, żeby była inna, z paltem było trudniej. I tak dalej”. „Kama” zaopatrzona była w fałszywe dokumenty, robiła wszystko, by ubierać się i zachowywać jak niemiecka dziewczyna. A jednak niebezpieczeństwo czaiło się na każdym kroku. „Widać było dużo żandarmów jadących na łapanki w Warszawie, na rewizje. Wożono Niemców przecież i do więzienia na Pawiaku i zapewne gdzie indziej. Szły czasem zwarte, niewielkie oddziały niemieckie. Na ulicy widziano same niemieckie mundury” – dodaje „Kama”.

Rozpoznanie trwało w sumie cztery tygodnie. Pod koniec stycznia 1944 roku oddział „Lota” był gotów do akcji.

Śmierć w Wiśle

„Akcja została zaplanowana bardzo miśternie. Oddział w nią zaangażowany był stosunkowo duży i dobrze uzbrojony,

„Konspiratorzy zmuszeni byli działać w tzw. dzielnicy policyjnej. Znajdowały się tam najważniejsze placówki niemieckich służb. Mieszkania też zajmowali Niemcy, bo wcześniej wysiedlono stamtąd wszystkich Polaków”

a role ściśle podzielone. Bezpośrednim wykonawcom wyroku towarzyszyli żołnierze ubezpieczenia i grupa odpowiedzialna za sygnalizację. Za ewakuację odpowiadali kierowcy trzech samochodów” – wyjaśnia Brodacki. Organizatorzy uznali, że akcję należy przeprowadzić rano. Powód? Kutschera jeździł do pracy mniej więcej o stałej porze, podczas gdy wracał z niej w bardzo różnych godzinach. Na miejsce zamachu wybrano Aleje Ujazdowskie, gdzie osoby spoza dzielnicy mniej rzucaly się w oczy.

„Lot” pierwotnie planował uderzyć 28 stycznia 1944 roku. Jego ludzie zajęli stanowiska, okazało się jednak, że tego dnia Kutschera do pracy nie wyruszył. Rankiem na krótko wyjechał z Warszawy, co zdarzało się niezwykle rzadko. Ostatecznie termin akcji został przeniesiony na wtorek 1 lutego. Po godzinie 9.00 rano Kutschera opuścił dom. Kiedy jego Opel znalazł się mniej więcej na wysokości siedziby SS i policji, drogę zajął mu samochód prowadzony przez Michała Issajewicza „Misia”. Kierowca Kutschery zaczął mu dawać sygnały specjalnym żółtym reflektorem, którym dysponowały samochody uprzywilejowane. W tym czasie do Opla podbiegli czekający nieopodal „Lot” oraz Zdzisław Poradzki „Kruszynka”. Pierwszy z nich z bliskiej odległości otworzył do Kutschery ogień z pistoletu maszynowego. Po chwili dołączył do niego drugi egzekutor. Kolejnych kilka strzałów oddał „Miś”. W tym czasie trwała już wymiana ognia pomiędzy żołnierzami ubezpieczenia a obstawą budynku SS. Kule dosięgły „Lota”, który ciężko ranny wycofał się z pola bitwy. Poszkodowani zostali też trzej inni akowcy. „Wszystkich szczęśliwie udało się wywieźć z miejsca akcji” – podkreśla Brodacki. Atak trwał dokładnie jedną minutę i 40 sekund. Dramat jednak dopiero miał się rozpocząć.

Dwaj lżej ranni żołnierze trafili do Szpitala Maltańskiego. Szybko i sprawnie udało się ich opatrzyć. Niebawem opuścili placówkę. Ciężko rannych „Lota” i Mariana Sengera „Cichego” trzeba było wieźć aż na Pragę, do Szpitala Przemienienia Pańskiego. Tam przeszli skomplikowaną operację.

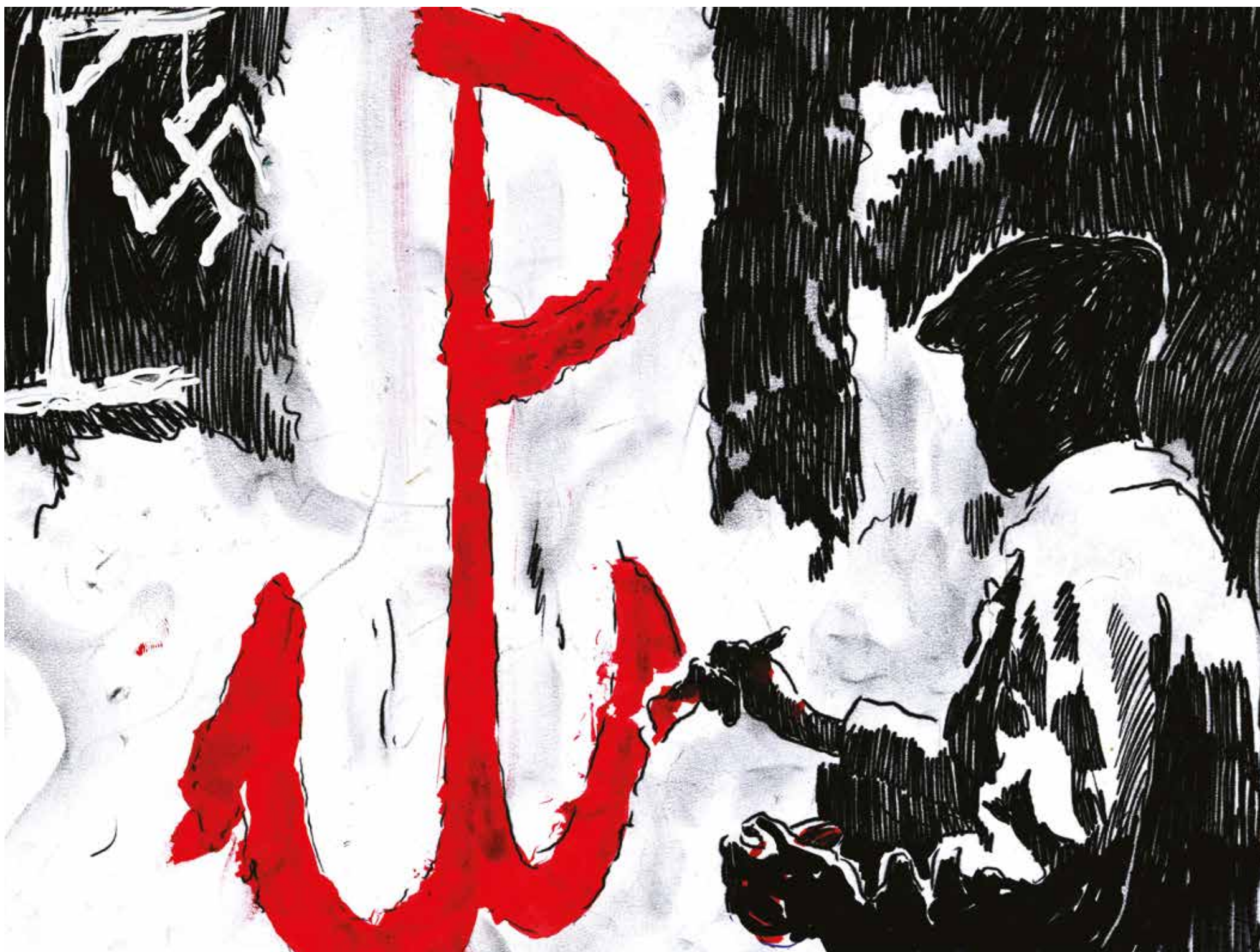
Rannymi, których rzekomo postrzelić miała straż kolei, zainteresowali się jednak granatowi policjanci. Jakby tego było mało, wkrótce w poważne tarapaty wpadli Kazimierz Sott „Sokół” i Zbigniew Gęsicki „Juno”. Ze strzelaniny wyszli bez szwanku. Teraz mieli porzucić gdzieś w praskich zaułkach samochód, którym przywieźli do szpitala rannych kolegów. Uszkodzony podczas akcji wóz zbyt rzucił się w oczy. „Sokół” i „Juno” popełnili jednak błąd. Postanowili zachować wóz dla ruchu oporu i wrócić nim na wschodni brzeg Wisły. Kiedy wjechali na Most Kierbedzia, okazało się, że Niemcy zdążyli już tam ustawić blokadę. Mężczyźni chcieli zawrócić, ale samochód utknął na balustradzie. Wywiązała się kolejna strzelanina. „Aby się ratować, „Juno” i „Sokół” skoczyli do Wisły. Nie zdołali ocaleć” – przyznaje Brodacki. Niedługo potem zmarli też „Lot” i „Cichy”, których koledzy wydobyli spod straży granatowej policji.

Jedynym pocieszeniem było to, że nie żyje także Kutschera.

Koronkowa robota

„Zabicie Kutschery było dla Niemców wstrząsem. W odwecie przeprowadzili kilka masowych egzekucji. Nałożyli też na Warszawę potężną kontrybucję” – zaznacza historyk. Jednocześnie o organizatorach akcji wyrażali się ze swoistym uznaniem. Wilhelm Koppe, wyższy dowódca SS i policji w Generalnym Gubernatorstwie, w sprawozdaniu złożonym Hansowi Frankowi akcję polskiego podziemia nazwał „koronkową robotą”. Wkrótce niemiecki terror nieco zelżał. „Oczywiście Niemcy nie zrezygnowali z represji, ale postępowali ostrożniej. Ich zachowanie nie było już tak brutalne i ostentacyjne jak w czasach Kutschery” – przyznaje Brodacki. „Najpewniej doszli do wniosku, że skoro Polacy są w stanie zlikwidować generała SS, w dodatku uczynić to w sercu policyjnej dzielnicy, to tak naprawdę nikt z nich nie jest bezpieczny. Sprawiedliwość może dosięgnąć każdego zbrodniarza” – podsumowuje. ■

Źródło: portal Polska-zbrojna.pl



Wspomnienia weteranów

Pochodzą z różnych domów i środowisk, a połączyła ich służba i walka w szeregach AK – oto relacje weteranów Polski Walczącej.

Jakub Nowakowski

„Tomek” (ur. 4 grudnia 1924 roku w Warszawie), podpułkownik Wojska Polskiego w stanie spoczynku, żołnierz Szarych Szeregów i Batalionu „Zośka”, w Powstaniu Warszawskim walczył w plutonie 226 Zgrupowania „Żniwiarz” na Żoliborzu, doktor nauk biologicznych, pracował (do emerytury) w Instytucie Zoologii PAN w Warszawie.

W Powstaniu Warszawskim miałem na sobie cywilne ubranie, z białą-czerwoną opaską i literami „WP” – Wojsko Polskie. U nas tylko niektórzy, przede wszystkim dowódcy, byli umundurowani – w mundurach zrzutowe, brytyjskie, przedwojenne



polskie albo zdobyczne niemieckie. Nasz dowódca „Tadeusz” umundurowany był w brytyjski battle dress. No i hełmy mieliśmy – zdobyczne niemieckie, polskie przedwojenne i strażackie. Te ostatnie związane były z tym, że kwaterowaliśmy w budynku Wyższej Szkoły Pożarniczej przy ulicy Słowackiego, zresztą ona do dziś tam istnieje. Z tej szkoły wychodzi-

liśmy patrolami na akcje bojowe i urządzaliśmy zasadzki na patrole niemieckie, które przyjeżdżały do fabryki Opla [obecnie Hala Marymoncka] po części do uzbrojenia i samochodów. Myśmy ich zniemacka atakowali i wystrzeliwali.

Można powiedzieć, że działaliśmy jak typowi komandosi. I tak było przez pierwszą połowę sierpnia. Zauważyliśmy też, że Niemcy przez dłuższy czas ostrzeliwali Żoliborz tylko ogniem nękającym. Jednak po połowie tegoż miesiąca [17 sierpnia] opuściliśmy budynek szkoły pożarniczej – zajęli go żołnierze Zgrupowania „Żubr” – i dołączyliśmy do sił przeznaczonych do szturm na Dworzec Gdański [z 21 na 22 sierpnia]. Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że tu przeszliliśmy prawdziwy chrzest ogniowy...

Szczerze mówiąc, to było wariackie natarcie, bo nie dysponowaliśmy żadną ciężką bronią, którą moglibyśmy uczynić wyrwy w tej „twierdzy”. Cóż z tego, że atakowaliśmy nocą, kiedy Niemcy rakie-

tami oświetlali cały teren. Jak rakiety rozświetlały niebo, my w biegu padaliśmy na ziemię i gdy robiło się ciemno, podrywaliśmy się i dalej biegliśmy do przodu. Jednak kiedy znaleźliśmy się blisko zasieków okalających niemieckie pozycje, rozpętało się prawdziwe piekło. To była niewyobrażalna lawina ognia. Pół metra nad ziemią powstał sufit ogniowy i kogo dosięgnął, ten padał martwy albo ranny. A do tego sypały się na nas granaty z moździerzami i odłamki pocisków artyleryjskich. Noc zmieniła się w upiorny dzień! Jak wszyscy wokół – rzuciłem się na ziemię i w tym momencie zostałem ranny w rękę. Czułem, że krew leje mi się po ręce, i jednocześnie zauważyłem, że obok mnie śmiertelny postrzał w głowę dostał kolega z erkaemem. Nie zdążył zająć stanowiska, by odpowiedzieć Niemcom ogniem. Tym zabitym był Andrzej Dażwański „Jędrzek”. Bardzo sympatyczny, typowy inteligent. Wysoki, w powstaniu cały obwieszony taśmami z amunicją jako erka-

emista. Mnie, choć rannemu, udało się przeżyć i wycofać do tyłu. Walczyłem dalej, do ostatniego dnia powstania.

Kapitan Piotr Jarosławów

„Lis” (ur. 6 lutego 1927 roku w Halinie koło Wilna), żołnierz 2 Wileńskiej Brygady AK, odznaczony Virtuti Militari. Po akcji „Ostra Brama” wywieziony przez Sowieców do Kaługi. Uciekł z obozu i dotarł do Riazania, gdzie wstąpił do 2 Dywizji Piechoty WP. Po wojnie ukończył w Dęblinie kurs mechaników lotniczych. Od 1948 roku był pracownikiem Zakładów Energetycznych w Gołczewie, a następnie ENEA w Szczecinie, w którym przepracował 40 lat na kierowniczych stanowiskach. Mieszka w Szczecinie.



Pod koniec lipca 1943 roku por. Czesław Plejewski „Strasburger”, szef naszej dywersji, na czele 13-osobowego oddziału konnego zwiadu wyruszył na patrol, w którym i ja się znalazłem. W pewnej chwili natknęliśmy się na bardzo silny oddział niemiecki. Jak później wyliczyliśmy, miał on około 150 żołnierzy uzbrojonych po zęby. Na szczęście Niemcy w trakcie odpoczynku w marszu nas nie zauważyli, a my zaczęliśmy gorączkowo myśleć, co robić: wycofywać się, a może wykorzystać moment zaskoczenia i zaatakować? To teraz wydaje się szaleństwem, ale to była godzina 6.00 rano, broń Niemcy mieli na spoczynku ustawioną w kozły; my ukrywaliśmy się w krzakach i nie mogliśmy rozeznaczyć naszych sił, to mogło się udać, ale ryzyko było na granicy samobójstwa... Wiedziony impulsem, zaproponowałem „Strasburgerowi”: „Panie poruczniku, wezmę na kiju białą szmatę i podejść do ich dowódcy, by odwrócić jego uwagę”... Porucznik zawahał się na moment, lecz kiwnął głową i zakomenderował: „Idź”.

Mam to do dziś przed oczyma jak film... Macham na kiju białą koszulę kolegi, Janka Stankiewicza, i podchodzę do niemieckiego pułkownika, stojącego w rozkroku, w mundurze jak spod igły. Przez moment patrzymy sobie w oczy i nim on zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, odrzuciłem kij, wyrwałem zza pasa pistolet i strzeliłem mu prosto w twarz. Niemcy, widząc, jak ich dowódca wali się na ziemię, zerwali się i ruszyli do kozłów z bronią, niektórzy

zaczęli strzelać z broni krótkiej – niestety, jedna z zabłąkanych kul dosięgła wspomnianego Janka i to była jedyna ofiara tej bitwy. Wtedy por. Plejewski wstał i krzyknął po niemiecku: „Poddajcie się! Jesteście otoczeni! Wybijemy was co do jednego!”. I oni skapitulowali. Kiedy zobaczyli, ilu nas jest, ich dwaj pozostali przy życiu oficerowie pokłócili się między sobą. Jeden krzychał do drugiego: „Zobacz, poddałeś nas garstce szmaciarzy!” – pił do naszego partyzanckiego umundurowania (śmiech). Za ten wyczyn dostałem Krzyż Walecznych, ale następnego roku na Wielkanoc w Turgielach podczas zgrupowania wszystkich wileńskich brygad AK na uroczystym apelu nasz komendant płk Aleksander Krzyżanowski „Wilk” wyczytał moje nazwisko i odznaczył mnie Krzyżem Virtuti Militari.

Bogdan Walas

Major w stanie spoczynku (ur. 11 września 1924 roku w Terespolu), żołnierz lubelskiej Armii Krajowej, więzień obozu na Majdanku. Od lat propaguje i upamiętnia w Lublinie pamięć o marszu Józefie Piłsudskim i wielu innych polskich bohaterach.



Do Armii Krajowej wstąpiłem w marcu 1943 roku dzięki starszemu koledze, który nazywał się Henryk Zins – po wojnie uznany profesor historii i syn zawodowego oficera Wojska Polskiego [płk. Henryka Zinsa]. Od tego czasu zacząłem brać udział w różnych akcjach sabotażowych, w których wykorzystywano moją profesję operatora potencjometru [urządzenia nagłaśniającego w kinie]. Tutaj wspomnę o moim największym „numerze”. Niemcy

w Lublinie i w innych miastach Generalnego Gubernatorstwa zainstalowali uliczny radiowęzeł – tzw. szczekaczki, przez które nadawali różne propagandowe komunikaty. W miarę zbliżania się frontu i nasilenia nalotów bombowych na Rzeszę pojawiły się też ogłoszenia o działaniach alianckiego czy sowieckiego lotnictwa. Najczęściej były to wiadomości uspokajające, że nad Rzeszą nie zaobserwowano żadnych nieprzyjacielskich samolotów albo że nad Rzeszą pojawiło się tylko kilka nieprzyjacielskich maszyn. Znając dobrze niemiecki, nagrałem płytę, w której ostrzegałem przed zmasowanymi nalotami nieprzyjacielskich samolotów na miasta Rzeszy. Dzięki koledze z AK udało nam się włączyć tę płytę do „repertuaru” szczekaczek. Dwa razy na własne uszy słyszałem swój komunikat na ulicach Lublina, a w Niemczech budził on, co zrozumiałe, wielki niepokój.

Nie zastanawiałem się nad konsekwencją tego wyczynu, a była nią po prostu śmierć, choć wkrótce na własnej skórze poczułem, co oznacza dostać się w ręce gestapo. Niedługo po akcji z tym nagraniem otrzymałem powołanie do Polnischer Baudienst [Polska Służba Budowlana] i trzeba było pożegnać się z kinem Corso [zmienione przez Niemców w skład amunicji – zostało zniszczone w 1944 roku]. Pracowałem m.in. przy budowie stacji kolejowej Tatary w Lublinie, ale krótko, bo gdy Niemcy zorientowali się, że dobrze znam ich język, przenieśli mnie do biura. Oczywiście przez cały ten czas byłem czynnym żołnierzem AK i uczestniczyłem w dość ważnej akcji w Lublinie. Mianowicie w jednym z magazynów postanowiliśmy zdobyć 12 karabinów. Podczas rozpoznania terenu miałem pecha, bo dysponując aparatem fotograficznym, postanowiłem zrobić zdjęcie bramy owego magazynu, i na tym nakrył mnie Otto Peterman – kierownik firmy budowlanej z mojej budowy. Zaczął krzyzczeć, że to zabronione, ale udało mi się go udobruchać zapewnieniem, że zniszczę to zdjęcie, notabene mam je w archiwum do dziś (śmiech)... W weekend tego samego tygodnia zdobyliśmy te 12 karabinów bez większych problemów, a do tego ponad 2 tys. sztuk amunicji. Pamiętam nazwisko kolegi, który pierwszy otworzył drzwi magazynu – Stanisław Bakalarczyk. Działo się to pod koniec stycznia 1944 roku, więc ta broń była jak znalazł do szykowanej akcji „Burza” [która na Lubelszczyźnie trwała od 20 lipca 1944 roku].

Fragmety wywiadów Piotra Korczyńskiego z ветеранami Armii Krajowej opublikowanych na łamach miesięcznika „Polska Zbrojna”

POLSKA ZBROJNA **HISTORIA**

Projekt zrealizowany pod redakcją Piotra Korczyńskiego

Opracowanie graficzne: Wydział Składu Komputerowego i Grafiki WIW, Dariusz Mikołajczyk

Redakcja i korekta: Wydział Opracowania Stylistycznego WIW Ilustracja na okładce: Piotr Korczyński

Konsultacja historyczna: Wydział Wydawnictw Historycznych, Książkowych i Specjalnych WIW, dr Robert Sendek, dr Jacek Żurek

Druk: Wojskowe Zakłady Kartograficzne sp. z o.o. ul. Fort Wola 22, 01-258 Warszawa

wiw

Wojskowy Instytut Wydawniczy
Dyrektor: Ewa Korsak
Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

Miesięcznik „Polska Zbrojna”
Redaktor naczelny: Magdalena Kowalska-Sendek

Portal www.polska-zbrojna.pl
Redaktor naczelny: Magdalena Miernicka

Kwartalnik „Polska Zbrojna. Historia”
Redaktor naczelny: Piotr Korczyński

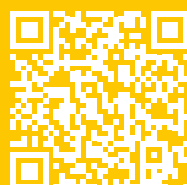
POLSKA-ZBROJNA.PL

Wojskowy Instytut Wydawniczy

Chcesz wiedzieć więcej?
Zajrzyj na Portal
polska-zbrojna.pl
oraz do innych naszych
wydawnictw:



Nasze wydawnictwa kupisz
w sklepie internetowym:
sklep.polska-zbrojna.pl



Zamów
prenumeratę
już od bieżącego
numera.

